

Mateusz Zimnoch

Antropotanatologia pętli*

Przerdzewiałe torowisko pozwijane w niedorzeczne węzły mostowe, gdzie jeden nieostrożny krok kusi czające się pod drewnianymi podkładami zdegenerowane dra- pieżniki, nie jest środowiskiem, które raziłoby oczywistością artystycznego zamysłu. Świat sprawiający wrażenie postapokaliptycznego pustkowiecia składającego się z zasied- dlonych przez ludzi wysp poprzedzielanych bezmiarem wyschłego oceanu, gdzie zbu- dował swoje królestwo jakiś ponury kolejarz o nieco demonicznych zapędach estetycz- nych, to obraz zakreślony z rozmachem dysponującym wystarczającą energią, by napę- dzić niejedną cząstkową narrację. I w zasadzie można byłoby się ograniczyć do serii za- chwytów nad kunsztem Miéville'a, który jednym gestem zdemaskował ponure konse- kwencje systemu korporacyjnego i mechanizmy kształtowania się społecznych wyobra- żeń nadnaturalnej rzeczywistości (chwała dobrym, choć mocno przewidywalnym za- kończeniom), lecz – niestety – całokształt najnowszej książki Brytyjczyka nie wypada już tak świetliście. A powodem bynajmniej nie są drobne niedociągnięcia w stylu zabawne- go skądinąd wyliczenia ze strony 371.

Toromorze daje mniej, niż obiecuje – tak swoim mieszkańcom, jak i czytelnikom. Jest hojną obietnicą o rozmiarze książki, lecz książka ta pozostaje tylko obietnicą, nie zaś jej spełnieniem. Świat Miéville'a to bezmiar bogactw zwiniętych w szereg wzmianek do- klejonych do głównej narracji. Ten świat po wielokroć przerasta opowieść i sam autor znakomicie zdaje sobie z tego sprawę. Doskonale wie, że napisał zwięzły scenariusz fil- mowy, choć po książce spodziewalibyśmy się przynajmniej jego wersji reżyserskiej. Nie pomogą metatekstualne zapewnienia o tym, że "można wpaść w rozpacz, myśląc o tym, jak wiele rzeczy zostało przy tym pominiętych", a gdyby to czytelnicy wytyczyli kurs narracji, to "opowieść pewnie potoczyłaby się inaczej" (s. 409-410). Wygląda na to, że

* Recenzja książki: China Miéville, *Toromorze [Railsea]*, przekł. Krystyna Chodorowska, Poznań: Zysk i S-ka 2014, ISBN: 978-83-7785-301-6, ss. 421.

opowieść potoczyła się jednak tak, jak się potoczyła, więc smutki i westchnienia warto byłoby zastąpić nieco szerszą niż kilkudzaniowa odpowiedzią na pytania ze strony 251. Dlaczego jawnie demaskując największą wadę własnej powieści, Miéville zdecydował się dodać jedynie banalny poziom meta – kilkanaście irytujących rozdziałów po półtorej strony każdy, ufundowanych na prostackiej niemal metaforze lektury jako podróży – zamiast podjąć trud adekwatnego opisu własnego zamysłu światotwórczego? Dlaczego w miejsce owej nad-narracji nie poszerzył linearnej (nie, nie zmieniają tego zastosowane w drugiej połowie książki przeskoki między opisami podróży *Medesa*, Shama i braci Shroake'ów) historii powielającej najbardziej sztamowe linie fabularne? Zachodnia krytyka uznała ten akt za przejaw inteligentnej gry intertekstualnej z *Moby Dickiem* Melville'a i *Wyspą Skarbów* Stevenson, ale tak prosta gra – w dodatku prowadzona bardzo powierzchownie – to dla ponowoczesnego pisarza lekki wstyd. Tym bardziej dla pisarza o takim stażu i tak znakomitej opinii czytelników.

Książka Miéville'a pozostaje w pewnym sensie sprzeczna wewnętrznie. Oparta na filozofii pętli koncepcja ekodystopijnego świata, będącego gęstym kłęczem zwrotnic i rozjazdów bez jakiegokolwiek początku i końca (stąd też silnie nacechowana symbolicznie graficzna wariacja na temat spójnika "i"), których przyswojenie jest zarazem aktem oswojenia czającej się wszędzie wokół śmierci, sytuuje się w znakomitej opozycji względem wybranego przez autora modelu narracyjnego. Opisywanie uniwersum, którego puls streszcza symbol nieskończoności, przy użyciu linearnej do bólu akcji nie może przynieść pożądanego efektu artystycznego. Plątanina poprzedzielanych niekończącymi się zwrotnicami torów, które jeśli już się kończą, to jedynie pętlą zmuszającą podróżnych do natychmiastowego zawrócenia, aż się prosi o awangardowy tryb narracyjny, którego konstrukcja oddałaby istotę opisywanego świata. Taki, w którym opowieść rozpadałaby się na kolejne odnogi, niespodziewanie zawracała bądź "zapętlala" się niczym dystopijny fraktal, by finalnie podążyć samotnym torem z fotografii Shama, wyprowadzającym czytelnika nie tylko z gęstwiny szyn, ale z gęstwiny samego świata. Tymczasem "historia zakrwawionego chłopca", który z obiektu powszechnych drwin zmienia się nagle w lidera ciągnącego za sobą tłumy, nic nieznaczącego chłopca, w pogoni za którym narażają swe życie najplugawsze typki tamtego świata, naiwnego chłopca, dla którego odkryciem jest z początku obrzydliwa woń kretoryjowego trupa, a który trzysta stron dalej osiąga już rzeczy niebywałe – to wzorzec niebywale prosty, niemający nic wspólnego ze skomplikowanymi podstawami ontycznymi rzeczywistości, w której jest

osadzony. Powstaje pytanie, czy *New Weird* nie jest dziś jednym z tych nurtów literackich, po których można byłoby się spodziewać nieco mniej standardowych rozwiązań. Pytanie to jest tym bardziej na miejscu, że sam zamysł świata pozostaje w *Toromorzu* genialny.

Zasadność powyższych wątpliwości rozchwiewa nieco ambicja powieści zaklasyfikowanej jako *young adult fantasy*. Można bowiem argumentować, że sposób narracji jest tu pochodną kompetencji jej przyszłych odbiorców. Przyjemnie byłoby jednak wierzyć, że zamysłem Miéville'a było coś więcej, aniżeli podskórne wychowywanie młodych pokoleń w postmarksistowskiej atmosferze intelektualnej (finalna wymowa opowieści jest bowiem tak właśnie ukierunkowana). Jeśli książka istotnie nie jest jedynie narzędziem w rękach utalentowanego ideologa – co wydaje się, mimo wszystko, niezwykle przykrą perspektywą – to argument z wieku czytelnika przestaje działać. Wówczas *Toromorze* staje się bowiem narzędziem w rękach jeszcze bardziej utalentowanego prozaiaka, który obok bagażu ideowego mógłby z powodzeniem kształtować przyzwyczajenia czytelnicze młodszych odbiorców, dostarczając zarazem jeszcze bardziej wyrafinowanej rozrywki swoim starszym entuzjastom.

Wszystkie powyższe kwestie w dużym stopniu utrudniają jednoznaczną ocenę powieści. Jeśli bowiem nakreślone wcześniej wątpliwości wydają się nieco bezwzględne, to nie są takie z uwagi na miałość *Toromorza*, lecz na jego niespożytkowany narracyjnie geniusz. Gdyby tę samą historię osadzoną w tym samym uniwersum opowiedział Miéville przy użyciu bardziej wysublimowanych technik (a może także stosunkowo większej liczby słów, bowiem nie pojawia się w powieści prawie nic, co nie miałoby bezpośredniego uzasadnienia dla przebiegu akcji, a to dla prowadzonej intrygi zakrawa już o solidny *oldschool*), książkę można byłoby uznać z czystym sumieniem za arcydzieło postmodernistycznej fantastyki. Tymczasem można ją uznać jedynie za preludium takiego arcydzieła. Może nawet za jego konwencjonalny wątek, a może za mało odkrywcze streszczenie, lecz z pewnością nie za samo arcydzieło.